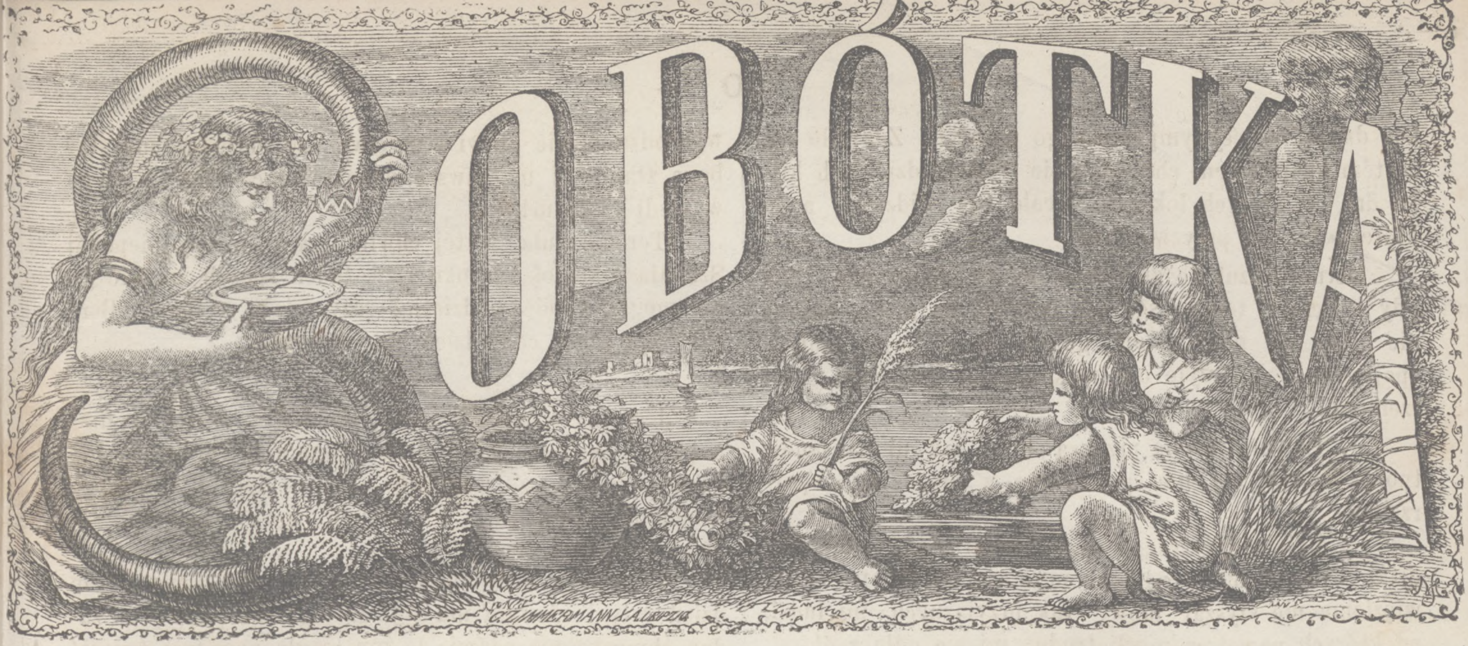


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 7. Poznań, dnia 12 lutego 1870. Rok II.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg)

XII.

Pytania takie, które sobie chory Bernard w samotnym pokoiku zadawał, mogły być wprawdzie tylko skutkiem gorączki, która go trawiła, mogły być także spowodowane gorącém uczuciem, jakiém pałał dla Tereni — ale zawsze było już faktem, że w jego duszy powstały. Już nie można było czémkolwiek ich odpędzić lub na zapomnienie skazać!

Za kilka dni minęła gorączka, pulsy wróciły do regularnych uderzeń — ale te nierozwiązane pytania pozostały jak uporczywe męty na dnie duszy. Posmutniał, przybladł jak człowiek który nosi się z jakąś wewnętrzną chorobą.

Wreszcie pozwoliła mu szambelanowa opuścić samotny pokoik. Z bijącém sercem, drżący cały wszedł do szambelanowéj.

W pomieszkaniu szambelanowéj nic a nic się nie zmieniło. Szambelanowa czytała przez okulary żywoty świętych, Elżbieta przędła pod piecem a Terenia przewracała w tece za jakiemiś rysunkami.



Ignacy Józef Dobrzyński.

Powitano go serdecznie, z pewném wzruszeniem, jak się wita długo nieobecnego przyjaciela. Szambelanowa nawet odłożyła okulary i zamknęła książkę, czego dawniéj nie czyniła. Poprawiła kornet i zaczęła z nim rozmowę.

— A to waćpan wyleżał się za cały miesiąc! Cóż robić i za to Bogu trzeba dziękować, że nie było gorzéj!.. Waćpan masz płaszcz za lekki a tu zimno nie lada! Może się tam znajdzie na strychu stary watowany płaszcz mój jedwabny. Zawołamy żydka, może da się użyć na podwatowanie płaszczyka waćpana!...

Troskliwość szambelanowéj sprawiła na Bernardzie teraz smutne wrażenie. Zdawało mu się, że on tutaj tylko litość wzbudza a nic więcéj. Litość to najboleśniejsza jałmużna jaka komukolwiek się wyświadcza!...

Nic na to nie odpowiedział, tylko badawcze spojrzenie wysłał do Tereni.

W téj saméj chwili spotkał się z oczyma Tereni. Terenia patrzała na niego dzisiaj inaczéj. Przynajmniéj tak się Bernardowi wydawało. W oczach Tereni było ja-

koś dzisiaj więcéj sympatycznego uczucia. Zdawało się, że tém spojrzeniem chciała sobie wynagrodzić tych kilka dni, w których lokatora wcale nie widziała, a do którego już się przyzwyczaiła.

Bernard czuł to spojrzenie na swojéj twarzy. Nigdy jeszcze w ten sposób nie patrzała na niego. Nawet nie tylko na twarzy, ale gdzieś aż w sercu czuł to spojrzenie... Uderzyło ono niespokojnie pod tém spojrzeniem...

— Panu zapewnie przykrą była tak długa samotność! ozwała się, nie spuszczając z niego tego spojrzenia.

— Byłaby mi tysiąc razy przykrzejszą, odpowiedział z ożywieniem, gdybym poza cienką ścianą mego więzienia nie słyszał mowy tak przyjaznych mi ludzi, od których nawet w myśli trudno mi się odłączyć!

— Dobrze jest, odpowiedziała szambelanowa, że się waćpan przywięzujesz do ludzi a nie do miejsca, jak to czynią samoluby!

Terenia spuściła oczy, za chwilę znowu je podniosła, znowu spuściła i lekko zarumieniła się.

— Może właśnie to, coś pan słyszał, przeszkadzało panu? wyszepnęła z cicha, przewracając w tece.

— Słyszałem najczęściéj tylko muzykę, odpowiedział Bernard, a ta jest dla mnie zawsze upragnioną. Wychowałem się śród szczęku broni, słyszałem tylko działa i wrzask bojowy — po śmierci ojca słyszałem tylko płacz matki — a po śmierci matki cały świat napawał mnie jakąś dziwną dysharmonią... dla tego każda harmonia jest dla mnie tak miłą i słodką...

Twarz Tereni rumieniła się więcéj. Szambelanowa z uwagą patrzała na Bernarda.

— Harmonia, ozwała się po chwili, jest to wielkie słowo. Człowiek tak powinien żyć na świecie, aby jeżeli nie z światem, to sam z sobą powinien być w harmonii. To jest cała filozofia życia.

Oczy Bernarda błysnęły jasném światłem. Słowa tak podniosłe, wymówione z takim spokojem nie mogły pochodzić z ust kobiety, któraby mogła mieć inne myśli od czynów swoich. Twarz Tereni harmoniowała także w téj chwili z temi słowami, a jéj czarne oczka szkliły się tak idealnym połyskiem, że tam na dnie żadnych mętów być nie mogło.

Lżéj zrobiło mu się na sercu. Wstydził się w téj chwili gorączkowych swoich przywidzeń. Oskarżał sam siebie w duchu, że popełnił zbrodnię, przypuszczając, że ci ludzie mogliby mieć jakieś niecne zamiary.

To go tak rozczuliło, że się w głos rozpłakał, chwycił rękę szambelanowéj, a potem drobną rączkę Tereni i je na przemianę zaczął okrywać gorącemi pocałunkami.

Szambelanowa widocznie była wzruszoną. Pocałowała go w głowę i przeżegnała świętym krzyżem.

Terenia zapłoniła się jak różyczka, cofnęła prędko swoją rączkę i wystraszonemi oczkami spojrzała na babunię. Babunia uśmiechnęła się do niéj z pewném zadowoleniem, którego wnuczka nie umiała sobie wytłómaczyć.

— Sieroctwo mości Bernardzie, rzekła po chwili szambelanowa, jest to wielką szkołą życia. Z niego wychodzą ludzie prawi i uczciwi, ale może też ono słabego złamać i na zawsze sponiewierać. Tyś z niego wyszedł lepszym!

Terenia czuła w téj chwili jakiś dziwny niepokój. Szukała jakiegoś rysunku i w żaden sposób znaleść go nie mogła, choć go dziesięć razy miała w ręku. Bernard był przez cały dzień szczęśliwym!

XIII.

Jest już w naturze serca, że dąży zawsze do niepokoju. Żywiołem jego jest niepokój czy to na wyżynach szczęścia, czy w podole boleści. Spokój to u niego synonim obojętności. Warunkiem jego życia jest pragnąć i obawiać się...

Tego teraz doświadczał Bernard. Był szczęśliwym dzień cały i zdawało mu się, że tego szczęścia jego żadna chmurka nie zaćmi, że mu ciągle pogodnie świecić będzie, jak po długiéj niepogodzie świeci niebo lipcowe.

Tymczasem zaraz w nocy naszły go znowu niepokojące myśli. Jak rozbite promieniem słonecznym mgły, które po drugiéj stronie nieba znowu zaczynają się gromadzić, tak wracały do jego wyobraźni dawne podejrzenia.

Osobliwie nie mógł tego zrozumieć, że ludzie stósunkowo tak ubodzy, wydają na wykwintne wychowanie tyle pieniędzy i do tego jeszcze robią z tego przed nim tajemnicę. Od podejrzenia, aby w tém były jakiekolwiek nieuczciwe zamiary, odstąpił zupełnie, ale nie mógł takiego postępowania pogodzić z zdrowym swoim rozumem.

To jedyne zostało ze wszystkich jego gorączkowych podejrzeń. Ale na to jedyne pytanie nie mógł sobie dostatecznie odpowiedzieć, jak również nie mógł zostawić go bez żadnéj odpowiedzi. Daremnie sobie głowę łamał, ale nic nie wymyślił.

Nazajutrz po bezsennéj prawie nocy przyszedł do szambelanowéj blady i zmęczony.

Szambelanowa wpatrywała się w niego długo, a potem ukośne wejrzenie zwracała na Terenię.

Trwało to czas jaki, a nawet śród rozmowy dostrzegł Bernard jakichś dziwnych porozumiewań się babuni z wnuczką oczami. Nie mógł tego pojąć, coby to znaczyło. Spotkał się kilka razy z oczkami Tereni, ale te tak prędko uciekły gdzieś głęboko pod jedwabne rzęsy, że nic z nich wyczytać nie mógł mimo najlepszych chęci.

Po niejakim czasie wstała Terenia i z pewném wewnętrznem wzruszeniem wyjęła z komódki nową tekę z rysunkami, starannie na stalowe klamerki zamykaną. Otworzyła tekę i wyjęła zwolna duży karton cienkim papierem cały owinięty. Rozwinęła ten papier, przygładziła karton i położyła go na stole w milczeniu.

Bernard ujrzał teraz jednę z najpiękniejszych akwareli. Była to jedna z tych alegoryi, w których podówczas nadzwyczaj lubowano. Miało to oznaczać życie ludzkie. Na pierwszym planie było bardzo tłumno. Byli tam różni ludzie i różnego wieku. Były dzieci, młode dziewczęta, staruszki — byli chłopcy, dojrzali mężczyzni i starcy w różnych zatrudnieniach życia ludzkiego stósownie do wieku. Po nad nimi w przezroczystém powietrzu odbywał się taniec Horów czyli godzin. Sple-

cione porządkiem toczyły się szalonym wirem i dawały niejako naukę, jak czas życia prędko ubiega!

Prawdopodobnie była to kopia jakiegoś z lepszych malarzy, ale odznaczała się nadzwyczajną starannością, niepospolitym talentem i nadzwyczajną pracą. Hory osobliwie były tak powietrzne i przezroczyste, jakby się rozpłynąć miały!...

Bernard patrzał z zachwyceniem na ten obraz. Terenia stała przy nim z jakimś smutkiem na twarzy.

— Jakże się waćpanu to malowanie podoba, zagadnęła szambelanowa, to wszystko robota Tereni.

Bernard nie mógł nawet słów znaleść, tak był cały w ten obraz zatopiony. Po jego twarzy tylko i po oczach można było poznać, jakie wrażenie sprawia na nim ta prześlicznie wykonana kompozycya.

— Dziś, bardzo dużo to pieniędzy kosztuje, mówiła daléj szambelanowa, sam nauczyciel, przy którym Terenia to robiła, wziął za lekcye pięćdziesiąt złotych!... Ale cóż robić i to w życiu może się przydać.

Bernard nadzwyczaj był kontent, że mu się nadarzyła sposobność mówienia o niektórych rzeczach, które go przez całą noc tak strasznie niepokoiły. Nie wiedział tylko jakby to zacząć. Zarumieniwszy się, rzekł drżącym głosem:

— Bardzo to ładna i piękna zabawa... ale dla ludzi tylko bogatych!

— Tak, podjęła szybko szambelanowa, bogaci zrobili sobie z tego zabawkę, a dla biednych może to być chlebem!

Bernard dziwnie spojrzał na szambelanową. Ciemny jego horyzont zaczął się trochę wyjaśniać.

— Widzisz waćpan, mówiła daléj szambelanowa, ludzie biedni powinni z wszystkiego korzystać. Jeżeli ktoś ma w kieszeni tysiąc złotych i nic za nie nie kupuje, to źle robi. A jeźli za nie kupi sobie naukę, lub wykształci talent jego wrodzony, to te tysiąc złotych mogą dla niego stać się funduszem niewyczerpanym!...

Twarz Bernarda rozjaśniała się coraz więcéj. Niemém wejrzeniem błagał Terenię, aby mu przebaczyła.

— Gdy waćpan byłeś chory, słyszałeś zapewnie, jak tutaj do Tereni przychodzili różni nauczyciele. Otóż widzisz rybeńko, że tych kilkunastu złotych nie żałuję, bo Terenia nie tylko więcéj się nauczy, ale nawet na wypadek mojéj śmierci nie będzie w kłopocie, jak sobie na kawałek chleba zarobić. Ludzie często różne koleje losu przechodzą. Ot i ja byłam kiedyś bogatą, mieszkałam w pałacach, a dzisiaj na poddaszu. Wprawdzie pałace szczęścia nie dają, ale i na poddaszu nie przyjdzie ono samo z siebie, tylko trzeba sobie na nie gorzko zarobić!

Bernard z coraz większem rozrzewnieniem patrzał przed siebie. Wstydził się dawnych podejrzeń, widział, że tak niesprawiedliwie posądzał ludzi najzacniejszych w świecie, że mogą mieć jakieś niedobre cele życia!...

— Otóż widzisz waćpan, mówiła daléj szambelanowa, pierwszy wkład w naukę Tereni już nam się zaczyna wracać. Od czasu do czasu sprzeda się taki jeden obrazek a za to jest nie tylko czém nauczyciela od rysunków zapłacić, ale nawet wystarczy na nauczyciela historyi... Otóż tak rybeńko powinni biedni robić!

— Jak to, zawołał Bernard, któremu łzy w oczach stanęły, ten obraz pójdzie na sprzedaż?

— Tak jest, na sprzedaż! odpowiedziała krótko szambelanowa — a waćpan zajmiesz się tą sprzedażą!

— Bernard spojrzał na Terenię Terenia patrzała w téj chwili na niego. W jéj czarnych oczkach był jakiś wyraz, jakiego tam jeszcze nie widział. Było tam coś smutnego, ale tlało także jakieś uczucie błogie, szczęśliwe...

— I ja mam ten obraz sprzedawać? zapytał rzewnym głosem, w którym łzy były.

— Weźmiesz waćpan za niego sto złotych! odpowiedziała krótko i spokojnie szambelanowa.

— Czy pani na to zezwala? zapytał Bernard Terenię i wysłał do niéj błagalne wejrzenie za obrazem.

— Biednym, odparła szambelanowa, nie wolno jest przywiązywać się do swych zabawek, chociażby one cząstkę życia stanowiły! Praca to ich chleb — więc pracę za chleb zamienić trzeba!

Terenia odpowiedź matki uważała za swoją i słowami Bernardowi nic nie odpowiedziała. Za to jéj oczy błysnęły jaśniéj, jakby były wilgotne... Spojrzała jeszcze raz na obraz jakby się z nim żegnała...

Bernard zamyślił się. Wprawdzie zniknął teraz ostatni cień gorączkowych jego podejrzeń, ale wyjaśnienie to kosztowało go w téj chwili bardzo wiele!... On miał być owym bezsumiennym człowiekiem, który ten obraz, robiony przez kilka tygodni mozolnie tą drobną rączką... ten obraz miał on wziąć i zanieść go do żyda i powiedzieć mu: daj sto złotych!

— Jeżeli waćpan nie chcesz tego uczynić, rzekła z chmurą na czole szambelanowa, to zawołasz żydka jak zwykle!

— Nie, zawołał z gorączką Bernard, ja sam go sprzedam!

Szambelanowa wzięła karton, zwinęła go lekko, obłożyła starannie papierem i dała mu do rąk.

Z błagalném wejrzeniem na Terenię, aby mu ten grzech ciężki darowała, wziął Bernard obraz i wyszedł do swojego pokoiku. (Dal. c. n.)

Dobrzyński w Poznaniu.

(Wspomnienie przez **M. A. S.** — Dokończenie.)

Mówiliśmy wyżéj, iż najgłówniejszém zadaniem i najusilniejszém staraniem Dobrzyńskiego było rozbudzenie u nas zamiłowania do muzyki instrumentalnéj i wokalnéj. Jakoż płodność jego na tém polu jest rzadką i prawie bezprzykładną. Nie masz prawie instrumentu, na któryby jakiego solo nie był napisał. Nie masz prawie rodzaju kompozycyi, w którymby z najpomyślniejszym skutkiem swych sił nie był próbował. Znajdujemy w spisie jego kompozycyi utwory na fortepian, skrzypce, wioloncello, flet, klarnet, obój, waltornię, fagot, trąbkę, trombon. Oprócz wielkiéj opery „Monbar“, napisał dwie symfonie, kilka mszy, uwertury, kantaty, muzykę do pieśni: Święty Boże, do poematu: Konrad Wallenrod, że pominę wielką ilość triów, duów,

kwartetów i kwintetów częścią na fortepian i smyczkowe instrumenta, częścią na same smyczkowe narzędzia, prócz tego sonat, waryacyi, mazurów, walców, scherzów, rondo, nokturnów, ballad, pieśni bez słów, a mianowicie pełnych uroku śpiewek i piosenek. We wszystkich udowodnił prócz dokładnéj znajomości teoryi i znamienitego talentu, gruntowną znajomość środków i narzędzi orkiestrowych, swobodę w prowadzeniu głosów, świeżość i barwność kolorytu, łatwość, potoczystość, jasność, pełność i wrażliwość instrumentacyi.

Co dziwniejsza, ta niezmierna, niesłychana łatwość produkcyi niezawisłą była od miejsca, ni czasu, ni stanu zdrowia. Przypominamy sobie dobrze, jak w r. 1845 za czasu pierwszéj jego bytności w naszém mieście zeszliśmy go znienacka w Bazarze na drugiém piętrze, gdzie skromny zajął pokoik i ujrzeliśmy go bladym, zbiedzonym, trapionym najdokuczliwszemi dolegliwościami. Skarżył nam się, że przez całą noc oka zawrzeć nie mógł dla cierpień fizycznych, a jednak wśród dojmującego bólu ułożył prześliczne trzy pieśni gminne z towarzyszeniem fortepianu. A ileż rzeczy po nim nie pozostało jeszcze w manuskrypcie; ileż nie spoczywa w tece, aby się doczekać lepszych, szczęśliwszych czasów?

Na czémże jednak głównie polega Dobrzyńskiego zasługa? — Od czasu, w którym Chopin na widownią muzyczną wystąpił, tylko narodowy piewcy powstać u nas mogą, czyli raczéj tacy tylko żyć będą w narodzie. Z toru przez tego mistrza wskazanego już nie będzie wolno im zboczyć, jeżeli będą chcieli należeć do narodu i być głosicielami myśli i uczuć jego. Dobrzyński pojął, zrozumiał tę myśl już w samym początku swego zawodu i umiał się ze swego zadania jak najzupełniéj wywiązać. Kto słyszał jego symfonią C-mol, ten zapewne się przekonał, jak silnie w niéj tętni duch narodowy, jak nowy i oryginalny sposób użycia i kojarzenia instrumentów, jaka charakterystyka i dziarskość w pochwyceniu, obrobieniu i przeprowadzeniu zasadniczéj myśli. Symfonia ta jest całkiem polską, i niczego więcéj żałować nie należy, jak, że Dobrzyński swego zamiaru wydania z czasem całego cyklu symfonii, z których każda na tle narodowych motywów miała być osnowaną, nie dokonał. Wzmiankował on w rozmowie poufnéj z nami, iż następna, którą ułożyć zamyślał, symfonia, miała być utworzoną w duchu ukraińskiéj muzyki, druga składać się miała z wielkopolskich, trzecia z krakowskich melodyi.

Co do pieśni sielskich, na dowód jak dalece umiał w nich wniknąć w ducha muzyki naszéj, powiedzmy tyle tylko, iż wszystkie nieomal w kilku dniach taką umiały sobie uzyskać wziętość, iż się u nas prawie zaklimatyzowały i przyswoiły. „Szklaneczka z winem“ i „Kujawianka“ dwie piosenki wyszłe w Warszawie, rozeszły się w dwóch edycyach w mgnieniu oka w ilości 3000 egzemplarzy. W śpiewie: „Wesoły ja parobeczek“ wykonanym tutaj na koncercie w Bazarze z towarzyszeniem orkiestry, tak szczęśliwie jest pochwycony ton pieśni ludowéj, iż natychmiast się w najniższych warstwach upowszechniła. Sami byliśmy tego świadkiem, jak może w lat pięć lub dziesięć i dłużéj nawet wyrobnicy, uczniowie i czeladnicy, rzemieślniczy po ulicach ją w Poznaniu nucili, nie zasłyszawszy zapewne nigdy o jéj autorze.

I w innych pieśniach i śpiewach jego melodya pełna prawdy i wyrazu podnosi i uzacnia poezyą do tak wysokiego stopnia, iż trudno rozstrzygnąć, czy słowo muzyki, czy muzyka słowa wymowniejszym jest tłómaczem.

Wydany przed trzydziestu laty kwintet (Es-dur) sławiły wszystkie dzienniki muzyczne, jako zalecający się doborem i śpiewnością melodyi, bogactwem harmonii, staranném wypracowaniem każdego głosu; niewypowiedziany urok mają użyte w nim cztery pierwsze takty mazura Dąbrowskiego, a to dla tego, że autor nie wziąwszy całego tematu, lecz ograniczywszy się na pierwszéj jego połowie, umiał go z zasobów kontrapunktycznéj nauki tak przystroić, ubarwić i urozmaicić, iż zawsze w nowym przedstawia się kolorycie. To samo można powiedzieć o drugim kwintecie, gdzie w adagio, zwaném Hommage à Kościuszko wziął za temat cztery pierwsze takty poloneza Kościuszki.

Wyjątki z „Monbara“ wykonane i tu w Poznaniu i w Berlinie, a mianowicie uwertura, chór i przecudne bolero, lubo nie pozwalają całości odgadnąć, przecież oryginalnością instrumentacyi, znajomością scenicznych effektów, prawdą i wyrazem deklamacyi, powabem melodyi upoważniają znawców do zdania sądu o jak najzupełniejszém uzdatnieniu Dobrzyńskiego do tego rodzaju kompozycyi.

Dobrzyński w r. 1853 mianowany został dyrektorem orkiestry opery polskiéj w Warszawie, ale nie mogąc się zgodzić z jenerałem Abramowiczem, pod którego sterem zostawał zarząd teatrów warszawskich, z powszechnym publiczności żalem w rok potém złożył urzędowanie. Na próżno szukamy po pismach warszawskich śladu, czy za czasów dyrekcyi jego nie odegrano jego opery. Zdaje się, że nie przyszło do tego w systemie ówczas panującym wykluczania z przedstawień utworów narodowych talentów. Dopiero późniéj w roku 1863, gdy łagodniejsze nastały czasy i publiczność dzieła Moniuszki, Münchheimera i innych z zapałem powitała na scenie narodowéj, wreszcie i Monbara odegrano. I tak w późnym dopiero wieku (liczył bowiem lat 56) doczekał się mistrz wystawienia na scenie narodowéj dzieła, nad którém tyle lat i z taką usilnością pracował, i które lat dwadzieścia kilka w tece jego spoczywało. Zapał publiczności, oklaski i brawa odzywały się wśród i po przedstawieniu, a niespracowany, w lata już zaszły Dobrzyński mógł się cieszyć powodzeniem najulubieńszego płodu swéj muzy. Czy ta opera jeszcze kilkakroć powtórzoną została, nie wiemy i dowiedzieć się nie możemy, nie mając pod ręką czasopismów warszawskich z lat następnych. Zdaje się jednak, iż to nastąpiło; trudno bowiem od razu ogarnąć i ocenić wszystkie w niéj tak szczodrą ręką rozlane piękności.

O ostatnich latach żywota Dobrzyńskiego mało nas doszło wiadomości. Czasopisma i gazety warszawskie na kilka miesięcy przed śmiercią jego, która w zeszłym roku nastąpiła, donosiły, iż ma się coraz gorzéj, aż nareszcie puchlina piersiowa, następstwo choroby, któréj zarody już od dawna w nim tkwiły, przecięła pasmo dni tego pracowitego i pełnego zasług żywota.

Spocząłeś tedy, drogi wieszczu, w cichym grobie, po wędrówce pełnéj trudów, kolców, cierni i utrapień; spocząłeś z powszechnym żalem ziomków, którzy w Tobie nie tylko znamienitego piewcę, ale i człowieka kochali; spocząłeś z niepowetowaną stratą dla sztuki, mianowicie narodowéj, któréj sławę nie tylko pomiędzy swoimi, ale u obcych rozpowszechniłeś. Przyjmij z tamtego świata tę skromną dań przyjaźni, ten hołd należny Twéj zasłudze, i w końcu życzenie, aby Ci była ziemia lekką.

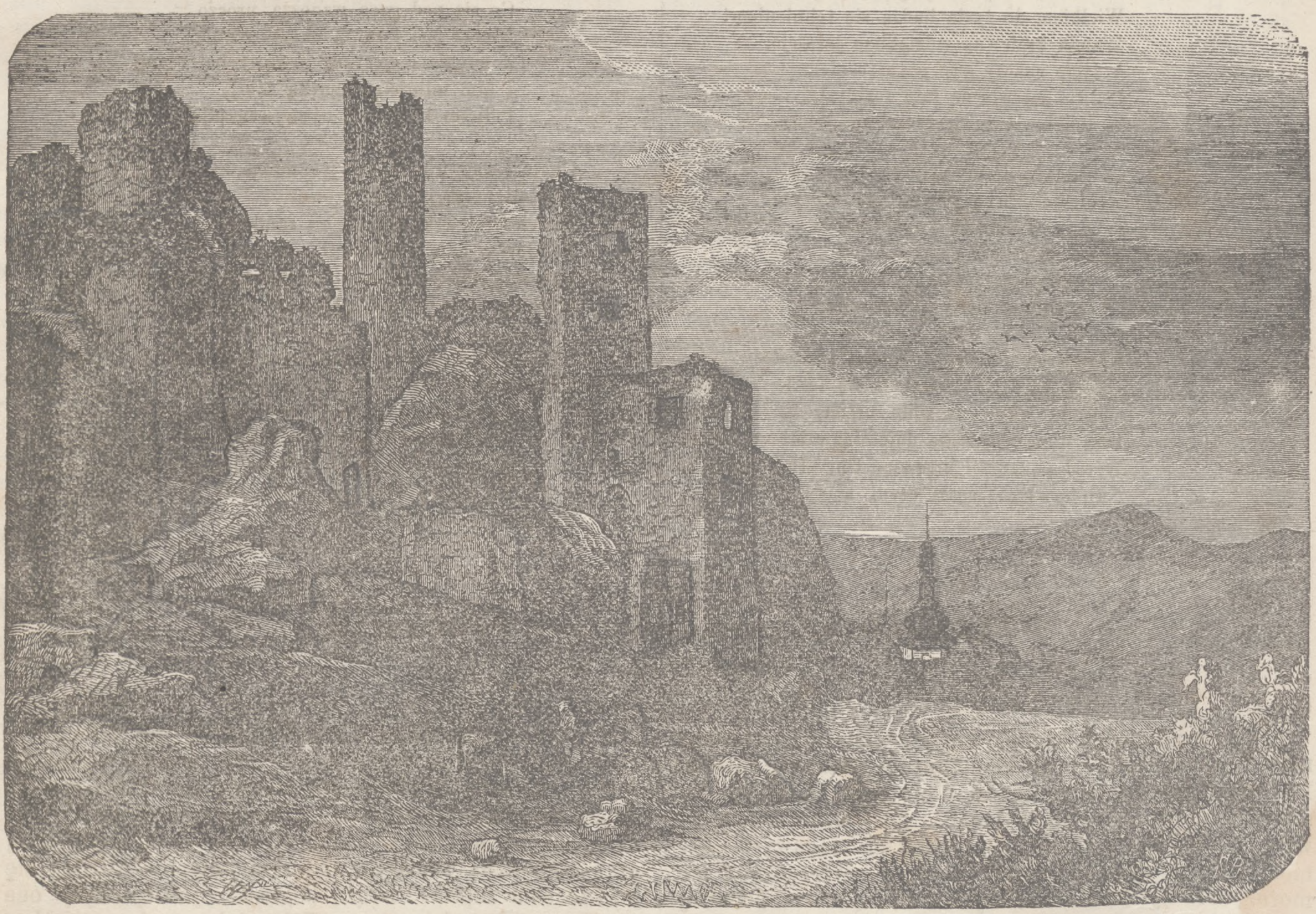
Poznań, dnia 28 grudnia.

Ruiny zamku Olsztyna.

(Z ryciną.)

Zamek Olsztyński, na stroméj skale zbudowany, ważnym był punktem pod względem wojennym. Niejednokrotnie téż był widownią walk, a mianowicie w r. 1587, kiedy dwaj pretendenci do korony polskiéj usiłowali wydrzeć sobie berło, które im rozdzielony na dwa stronnictwa ofiarował naród.

Partya Maksymiliana, arcyksięcia rakuskiego pod przywództwem Zborowskich, śmiertelnych wrogów Zamojskiego usiłowała zdobyć ten gród obronny. Zamku Olsztyńskiego broniła załoga, na któréj czele znajdował się mąż osiwiały w bojach i niezachwianéj wierności, Kacper Karliński. Kiedy Rakuzanie namowami i obietnicami nie mogli skłonić Karlińskiego do poddania zamku, wtedy zabrali piastunkę wraz z dziecięciem Karlińskiego i postawiwszy ją na czele szyków, osłonieni tą tarczą śmiało postępowali pod mury. Zatrzęsło się serce żołnierza i wodza stojącego na murach, których ruiny przedstawia nam załączona rycina, na widok ukochanego syna, nastąpiła chwila, w któréj uczucie ojca zwarło się z powinnością dowódzcy i świętością przysięgi. Krótka tylko była ta walka, bo Karliński porwał lunt i podpalił armatę, załoga zagrzana tak strasznym przykładem, sypnęła gradem kul na oblegających i wnet z sromotą ich od warowni odpędziła. Poległo dziecię Karlińskiego ale zamek ocalał, a z nim honor i powinność wodza wiernego swemu monarsze.



Ruiny zamku Olsztyna.

Rozmaite powieści krążą o niejednym zamku, ale o Olsztyńskim najdłużéj się one przechowały. Pewnemu chłopcu, opowiadają między innemi, zabłąkała się śród ruin skał Olsztyna owca. Chłopiec obawiając się kary, postanowił dopóty przeglądać zakąty i pieczary, dopókiby swéj zguby nie odszukał. Aby zaś drugi raz w jedném i tém samém miejscu straty nie szukać, kładł przezorny pasterz po drodze, którą przebywał, na znak krzyże. Takim sposobem postępując z pieczary do pieczary, napotkał na żelazne drzwi, za któremi brzęk łańcuchów a zarazem i bek swéj owcy posłyszał. Bez wątpienia bojaźń kary silniejszą była nad wszelkie inne uczucie, zaś radość z wynalezienia zguby dodawała chłopcu odwagi do uchylenia ciężkiéj zapory, rozdzielającéj go od zabłąkanéj owcy. Jakież przerażenie ogarnęło pasterza, kiedy przestąpiwszy próg jaskini, ujrzał szatana, wprawdzie nie takiego, jak go malują, ale po rogach i warkoczu, które mu z pod trójgraniastego wyglądały kapelusza, koźlich nogach i źle ukrytym ogonie pod frakiem, drżący chłopiec poznał od razu nieprzyjaciela rodu ludzkiego. Przestraszony tak niespodziewaném spotkaniem, oczekiwał pewnéj zguby, gdy uprzejmy syn piekieł skinieniem rogów powitał gościa a następnie zaprosił go do nabrania ze stojących beczek tyle złota, ile tylko uniéśćby zdołał. Ośmielony pastuszek wcale miłém przyjęciem, szeroką dłonią napakował w torbę dukatów i zabrawszy zabłąkaną owcę chciał się oddalić. Szatan odprowadził go ceremonialnie, w drodze tylko ostrzegł nowego Krezusa, iżby przestępując próg, nie ważył się obejrzeć, a złota nigdy na pożytek drugich nie obracał. Pastuszek nie w ciemię bity wyszedł cały z jaskini, unosząc skarb, za który późniéj żył w dostatkach, a przed śmiercią kościół ufundował. Podanie to krąży pomiędzy okolicznym ludem niewątpliwie z tego

powodu, że pod zamkiem Olsztyńskim znajdują się głębokie pieczary.

Dziś sterczą nieme, osamotnione ruiny, jako wspaniały pomnik naszéj przeszłości.

Polskie dziewice.

Wiersz poświęcony p. **Jadwidze N.**

Dziewice polskie — o jakież wzory,
Jakież przykłady dni waszych strzegą!
Niby to gwiazdy mlecznemi tory,
Niby anioły przed wami biegą.
To srebrne blaski w przestrzeń wam ronią,
To opiekuńczém skrzydłem was slonią.

Jeszcze w kołysce ojczyste dzieje
Wielkiem do życia budzą się tchnieniem!
Wanda królewna wdziękiem jaśnieje,
A życie znaczy swe poświęceniem.
Ledwie jéj wiosną lata rozbłysły,
W toń brylantową rzuca się Wisły.

Bolesław Śmiały bramy Kijowa
Dziadowym szczerbcem znaczy raz wtóry.
Stary Żębocin w murach swych chowa
Dorodną matkę i hoże córy.
Polki, — co broniąc rodzinnéj cześci,
Pierwsze są chlubą cnoty niewieściéj.

Królewska dziewa, — cudna i młoda,
Droga jéj życia kwieciem się ściele...
Choć ją Wilhelma wabi uroda,
Lecz dłoń swą białą daje Jagielle!
Wśród pogan — krzewiąc Chrystusa wiarę,
Najpierwszą z serca czyni ofiarę.

A gdy ojczyzna o pomoc woła,
To pierś dziewczęca zmienia się w krater.
I lawa z serca płynie do czoła,
A tam się nowy rodzi bohater,
Co z piersi rzuci ogniste słowo,
Wesprze ramieniem — poradzi głową.

Nieraz te piersi, co wdziękiem poją,
Co się pod gazą wznoszą uroczo...
Nieraz pod twardą ukryte zbroją,
Z wrogiem ojczyzny krwawy bój toczą,
I nim miłością ziemską zabiją,
Pełnym kielichem ojczystą piją!

Cnota i męztwo, to dwa znamiona,
Jakiemi Polki jaśnieją rzewne.
To ich królewski płaszcz na ramiona,
W którym nam świecą niby królewne.
Lub w ciemnéj szacie — siostry klasztorne,
Wielkie, bo wielkiém sercem — pokorne.

O! do gwiazd takich na ojców niebie,
Rwijcie się Polki anielską władzą.
One was światłem wesprą w potrzebie,
I drogą życia was poprowadzą..
Płyńcie, więc płyńcie drogi mlecznemi,
To i gwiazd więcéj przybędzie ziemi.

Poznań w lutym.

Władysław Bełza.

Kartki z podróży po Georgii.

Tyflis. (Przez J. Grz...)

(Dalszy ciąg).

Przeleciał jeden kozak, wołając donośnym głosem: namiestnik jedìet; przeleciał drugi z takimże hasłem. Lud się coraz ciśnie, gromadzi i oto rozdzielony na dwa szeregi znowu się spoił w jeden. Leci trzeci doniec — wywija nahajką, wita nią po grzbietach ciekawych, koniem tratuje natrętniejszych, a drogi przetorować nie może. Biedny jakiś chłopczyna ormiański w podartéj koszuli, bosą nogą ucieka, ciśnie się, popychany i odtrącany z jednéj i drugiéj strony, stara się uciec i schować przed sięgającą go nahajką kozacką; lecz kozak potrzebuje ofiary dla carewicza; kilka okropnych razów obaliły chłopczynę na ziemię, głowa potoczyła się po bruku, a krew jéj zafarbowała kilka łokci kwadratowych. Zgrozą i oburzeniem przejęty lud otoczył kozaka i dziecię, kilku z bliżéj stojących podjęli na wpół martwą ofiarę i starali się ją ocucić, a reszta jakby kleszczami ścisnęła jeźdzca, wzięto za cugle konia, odebrano nahajkę i pomimo obrony już, już zemsta krwawa miała zawisnąć nad jego głową, gdy kilkunastu baszkirów z krzykiem: hurrah! hurrah! namiestnik! potrącili kozaka naprzód i przetorowali drogę dla wielkiego księcia. Otóż i on. Z ust ludu wydobył się jeden okrzyk zgrozy i groźby, tysiące pięści wzniosło się w powietrze na znak zemsty, lecz w. książę przyjął to za powitanie i pozdrowienie, bo wychylał się z faetonu i na wszystkie strony uprzejmie się kłaniał.

Sceny te, zapewne nie jednokrotnie się powtarzają i chociaż w nich bezpośrednio nie winien w. książę, wszakże odpowiedzialność spada na niego. Ale czy on zważa na takie drobnostki! Cudnie prezentuje się ludowi z żoną w faetoniku zaprzężonym parą najczystszéj arabskiéj krwi rumaków, któremi niepowstydziłby się jeździć sam sułtan. Krążą pogłoski, jakoby były one przedtem własnością słynnego tamtejszego bogacza, kupca ormiańskiego, mającego największy skład win kachetyńskich. Kupiec miał upodobanie a nawet namiętność dla pięknych koni i z wielkim kosztem sprowadził parę z Arabii. Podobały się one w. księciu i poprosił razu pewnego kupca o pozwolenie mu takowych dla spaceru. Pojechał raz, drugi, dziesiąty i tak się w nich zakochał, że pomimo nalegań właściciela zatrzymał je u siebie na zawsze. Rozgniewany kupiec, nie mogąc znaleść innéj zemsty, wyrządził szykanę dworowi petersburskiemu; wybrał 500 butelek najprzedniejszego wina i posłał je w darze Napoleonowi. Naturalnie, Napoleon sam nie pił tego wina, a kazał rozdać swojéj przybocznéj gwardyi i zarazem miał zapytać przez swego konsula o znaczeniu tego prezentu i czy on za zgodą w. księcia był przysłany. Kupiec otrzymał naganę i zakaz ponawiania podobnego rodzaju prezentów; ale pomimo tego cieszył się w duchu z dokonanego czynu. Nie wiem, ile w tém prawdy, wszakże sama

pogłoska niepochlebnie świadczy o charakterze w. księcia, który skądinąd ma sławę człowieka uczciwego i szlachetnego nie tylko na Kaukazie, ale nawet w Polsce. Nie jednokrotnie protestował przeciwko nadużyciom satrapów i wielkorządzców moskiewskich w Polsce, i o ile mógł starał się ulżyć i zwolnić prześladowanie nieszczęsnego ludu; w tym celu wstawiał się do cara. Przynajmniéj wiem kilka przykładów nagany jego jenerał-gubernatora kijowskiego w czasie przejazdu przez Kijów a w skutek podanych próśb i zażaleń za nieludzkie tegoż postępowanie z mieszkańcami Rusi. Ale cóż poczniesz: natura wilka ciągnie do lasu.

Gdy wrzawa ucichła, a tłum począł się rozchodzić i każdy spieszył do domu, nasyciwszy do woli swoją ciekawość i ja też pospieszyłem w swoją drogę. Przechodząc przez główniejsze ulice, wszędzie się zatrzymywałem i oglądałem ściany i drzwi domów; nigdzie ani śladu najmniejszéj karteczki, oznajmującéj wynajęcie pomieszkania. Zwyczaju tu tego niema. Chcąc znaleść lokal, składający się z kilku pokoi, należy udać się do redakcyi jednego z dzienników miejscowych bądź to rosyjskiego, bądź ormiańskiego lub georgiańskiego i oznajmić chęć swoją najęcia; obowiązek znalezienia cięży na redakcyi. Jeśli zaś kto życzy mieć jeden albo dwa pokoje umeblowane i z usługą, musi zaglądać od domu do domu i często stracić miesiąc czasu bez żadnego w końcu rezultatu. Przyczyną tego, zda mi się, jest brak w ogóle próżnych domów, pomimo, że ludność stósunkowo nie gęsta; lecz wielka jest ilość domów należących do skarbu, gdzie się mieszczą familie urzędników i wojskowych. Tubylcy zaś, jeśli to jest arystokracya georgiańska lub ormiańska, za nic nie wpuszczą do siebie intruza przez dumę. Ludzie klasy średniéj, chociaż mają niekiedy pokój lub dwa do wynajęcia — kawalerowi za żadne pieniądze nie wynajmą, zwłaszcza jeśli w domu jest młoda mężatka lub panna. Ma się to rozumieć w części miasta europejskiéj Na azyatyckiéj zaś jest kilka lub kilkanaście obszernych budynków, o kilkustach komnatach każdy, gdzie można mieć pokój i obiad w kawiarni tamże znajdującéj się lub w tak zwanych duchanach. Budynki te są zarazem wschodniemi hotelami i zajazdami a noszą ogólne miano karawan-serajów. Dowiedziałem się o tém po kilku dniach pobytu, a w owéj chwili musiałem przejrzeć najprzód główniejsze ulice i potém udać się do odleglejszych ulic i zaułków. Tu już istotnie chodziłem od od bramy do bramy, od domu do domu i zapytywałem każdego o pomieszkanie. Wciąż była jedna odpowiedź. Mierzono mię najprzód od stóp do głowy, zapytywano czy mam meble, a na koniec: Pan kawaler? — Tak — i drzwi przed nosem zamykano. Niekiedy wychylały się z okien głowy niewieście, a dwuznacznêm spojrzeniem, uśmiechem, zdawało się, urągały się i cieszyły w duszy na widok mojéj zakłopotanéj miny

Zniecierpliwiony próżną stratą czasu i znużony kilkogodzinnêm wałęsaniem się, wstąpiłem po drodze do publicznego ogrodu i usiadłem pod cieniem drzewa. Cichy szmer liści, lekki powiew wiaterka, chłód wiejący od tuż znajdującego się wodotrysku orzeźwiły i wzmocniły siły moje tak, że byłem w stanie obejrzeć się i rozpatrzyć w szczegółach tego na pół wschodniego ogrodu. Jest to przestrzeń ciągnąca się od placu namiestnictwa do jednéj z odnóg Kury, to jest do tego miejsca, gdzie most rzucony przez nią oddziela właściwie miasto od przedmieścia. Ponieważ cała ta przestrzeń coraz to bardziéj zniżając swój poziom i przebiegając sążni pięćset, przecina kilka poprzecznych ulic najbardziéj ożywionych, których pył i kurzawa, w porze zwłaszcza letniéj, mogłyby uszkodzić znajdujące się w ogrodzie drzewa; więc na przecięciach się tych powznoszono mury zasadzone bluszczem i powojem a na około murów gęsty szpaler akacyi i kasztanów, zabezpieczających zarówno delikatniejsze drzewa południowe i osłaniających cieniem swym ulice. Każda tedy część ogrodu między jedną a drugą ulicą stanowi odrębną całość i każda niżéj pochylająca się od poprzedniéj. W każdéj pośrodku urządzony wodotrysk wyrzuca z łoża marmurowego do kilkunastu łokci wysokości taką ilość wody, że ta nie tylko zadowalnia wszelkie do zbytku potrzeby mieszkańców, ale za pomocą porozprowadzanych w różnych kierunkach kamiennych rynn skrapia najmniéjszy zakątek ogrodu, a w razie gwałtownych upałów i kurzawy — kurki tych rynn, wychodzące na zewnątrz ogrodu, odkręcają się a woda z nich płynąca zwilża sąsiednie dzielnice miasta. Z każdéj części tego ogrodu terasowanéj i wzniesionéj nad poziom ulic są urządzone na wszystkie cztery strony wspaniałe granitowe, wyłożone białym marmurem, wschody, kończące się żelazną sztachetowaną bramą lub furtką. Wszedłszy przez którąbądźkolwiek z nich stósownie do tego, z któréj strony miasta się idzie, widać najprzód główną jednę aleję, wysadzoną akacyami i bzem, a drugą poprzeczną — kasztanami i jaśminem; na prawo i na lewo w najfantastyczniejszych gzygzakach wiją się pomniejsze aleje, wysadzone figami, mirtami, aloesami i t. p.; pomiędzy temi drzewami i krzewami ławeczki i stoliki, a za niemi esowe i floresowe klomby z najpiękniejszemi kwiatami południa Chłód i cień drzew, aromat kwiatów, na każdym kroku świeża woda przynęcają co chwila tłumy przechodniów i spacerujących; lecz zwykła pora spacerów ma miejsce między piątą a dziewiątą po południu kiedy cała arystokracya Tyflisu płci męzkiéj i niewieściéj przychodzi tu oddychać świeżem powietrzem; naturalnie arystokracya to i burżorya europejska, a z azyatyckiéj niektórzy tylko mężczyzni i część kobiet więcéj już wyemancypowanych i zbliżonych do świata cywilizowanego. Reszta zwłaszcza kobiety mają odrębne całkiem i nadzwyczaj oryginalne miejsce przechadzek i spaceru, o których na swojém miejscu powiemy.

— Cóż tedy, Sarkizie, poczniemy? zapytałem wróciwszy do hotelu. Potrzeba będzie albo tu pozostać, albo szukać miejsca w karawan-seraju.

— Z deszczu pod rynnę, odrzekł zakłopotany mój towarzysz, zjadając kawałek jakiegoś nieszczęsnego byfstyku. W sali oprócz nas dwóch siedział przy drugim stoliku mężczyzna wieku średniego, ekswojskowy z drewnianą nogą.

— Po co panom łazić do tych karawanserajów, rzekł zbliżając się do nas, jest inny środek. I ja też potrzebuję pomieszkania; możemy wspólnie nająć parę pokojów. Jak widzę, dodał zwracając się ku mnie, jesteś pan moim rodakiem. Jestem Aloin J...., kapitan batalionu strzelców; otrzymałem dymisyą i powracam z Taszkentu, gdzie przesłużyłem piętnaście lat, do kraju. A że mam swoje interesa do załatwienia w Tyflisie i muszę jakiś czas tu zabawić, więc jeźli panowie zechcecie przyjąć mię do swego towarzystwa, każemy gospodarzowi hotelu poszukać dla nas kwatery. Jest tu rodzaj faktorów czy też ciceronów, przez których najłatwiéj można to będzie uskutecznić

Szczera i otwarta mowa kapitana trafiła do naszego przekonania i poszliśmy za radą jego. Zaraz nazajutrz zjawił się cicerone, Ormianin, proponując dwa lokale, każdy o dwu pokojach, do wyboru. Wybrawszy jeden z nich, umówiliśmy się o cenie i natychmiast przeszliśmy z hotelu do nowéj rezydencyi. Powiadam przeszliśmy, a nie przejechaliśmy; fiakry i dorożki służą tu tylko do spacerów zamiejskich i do jazdy po europejskiéj części miasta, ciężary zaś wszelkie przewożą na mułach i osłach lub też przenoszą na barkach swoich tragarze. Lud to dorodny, chłop w chłopa, krępy barczysty; muszkuły przedramienne przez ciągłe ćwiczenie nabrały twardości żelaza a objętości tak znacznéj, że nie sposób je objąć parą pięściami; pod stopami tych herkulesów zdaje się — ziemia się trzęsie i jęczy. A ileż to pudów ciężaru każdy z nich udźwignąć zdo-

len! Przechodząc przez ulice Tyflisu, widzisz kroczące postacie, na wpół zgarbione i pochylone ku ziemi, i obawiasz się, aby która z nich nie upadła pod brzemieniem tych olbrzymich beczek i pak z towarami. Ale nie — zdążają one poważnie i zwolna do miejsca wskazanego i tylko co kroków 30, 40 stają, opierają się o mur i odpoczywają. To facchini, jak ich tu niekiedy z włoska nazywają, imeretyńscy i ormiańscy. Każdy z nich ma uwiązaną z tyłu na plecach słomianą lub włosienną poduszkę — cieńszą u góry, grubszą u dołu, a na te poduszki kładą 15—20 pudów niekiedy. Dwaj tacy olbrzymi pochwycili niby piórko tłumoki i czemodany nasze i kapitana, a poprzedzeni przez Sarkiza zanieśli do domu w zaułku katolickim, na samém pograniczu europejskiéj i azyatyckiéj częśei miasta. Maleńki to jednopiętrowy domek, mieszczący w dolnych apartamentach właścicieli jego — ormiańską rodzinę, która się składała ze staruszki 60letniéj, jéj córki i trzech synów i córeczki téj ostatniéj; a w górnych — dwa pokoje: jeden zajęliśmy z Sarkizem, w drugim uplacował się kapitan. Domek ten z jednéj strony przytykał do kościoła, z drugiéj łączył się ścianą w ścianę z innemi i tworzył mur jednego boku uliczki, któréj drugi bok formowały także z płaskiemi dachami i w miejsce firanek wewnętrznych u okien, mające zewnętrzne — drewniane. W jednym z nich vis-à-vis naszego mieszkał nasz cicerone z rodziną.

Z galeryi przytykającéj do naszego apartamentu wchodziło się po kilku stopniach w górę na dach przylegającéj kamieniczki, dach płaski, ogrodzony ze wszech stron baryerami i żelaznemi sztachetkami, po których, jakby po tyczkach w ogrodzie, wił się zasadzony chmiel i powój; tuż koło nich zasiane gwoździki i rezeda, obiegając girlandami cały dach w około, w pośrodku zostawiały grunt twardy, mocno ubity na kilkanaście kroków w szerz i w zdłuż, t. j. przestrzeń, mogącą pomieścić kilkadziesiąt osób, a dla mniejszéj ilości mogącą służyć za miejsce przechadzki. Naprzeciw będący domek nieco wyższy miał także taki dach, następny obok niego trochę niższy, również trzeci, czwarty, piętrowy i dwupiętrowy itd.; jedném słowem cała ulica i ta i druga i następna przedstawiały widok piętrzących się płaszczyzn, to okrytych zielonym kobiercem zasianéj trawy, to czerwieniejących wyłożonym granitem, to ceglastych, to ponsowych, to wreszcie czarnych, zadymionych, zaniedbanych.

Półgodziną lub godziną przed zachodem słońca wszystkie te płaszczyzny oblekają się w szaty świąteczne: wyczyszczone, zamiecione, z poustawianemi kanapkami i stołeczkami czekają tylko na człowieka, któryby je obudził, orzeźwił i nadał im swoją obecnością więcéj powabu. Nareszcie zjawia się jedna postać niewieścia, druga, trzecia, oglądają się nieśmiało, bojaźliwie aby nie spotkać się z wejrzeniem obcego mężczyzny, czekają aż się zbierze znaczna gromadka, aż na innych płaszczyznach pokażą się nowe towarzyszki, które im dodadzą więcéj odwagi, śmiałości. I oto patrz, po chwili, wszystkie te improwizowane ogródki i spacery okryły się jakby kwieciem nieprzejrzaną ilością różnobarwnych postaci, ugrupowane niby w girlandy w najróżnorodniejsze kółka i szeregi, stósownie do kształtu, ormy i wielkości płaszczyzn. Zielone, amarantowe, łękitne spódniczki, takież różnego kroju kaftaniki, białe fartuszki, safianowe buciki, odsłonięte i powiewające za najlżejszym podmuchem wiatru długie białe welony — wszystko to się mieni tysiącem kolorów, kształtuje się tysiącem obrazów. A ileż to szeptów, westchnień, dolatujących do ciebie niezrozumiałém echem, Bóg wie, jakie tajemnice serca szlących do ucha wiernéj przyjaciółce lub falom zefirów wieczornych! Ileż śmiechu, pustoty, swawoli, cały dzień tłumionéj i zagrzebanéj gdzieś w ciemnéj i pustéj komnacie, a teraz rozlegającéj się dźwiękiem milionowych tonów! Dzieci i staruszki, podlotki i więdnące wdówki, panny i mężatki biegają, cisną się, szlą sobie ukłony i pełną piersią czerpią tę odrobinę powietrza, którą im nie zawsze czerpać wolno. Na całéj téj przestrzeni wre życie prawdziwe istót gnębionych i tak spragnionych swobody. To kobiety wschodu — muzułmanki i chrześcijanki zarówno — przeznaczone mają sobie to miejsce dla przechadzki i rozrywki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Kalendarz historyczny polski.

Dnia 12 lutego: 1386. Wjazd do Krakowa Władysława Jagiełły. — 1628. Stracona z Szwedami bitwa pod Górznem. — 1706. Rozprawa z Szwedami pod Wschową. — 1796. Śmierć Stanisława Poniatowskiego.

Dnia 13 lutego: 1386. Poselstwo Jagiełły do Jadwigi. — 1825. Ukaz zamykający obrady sejmowe przed publicznością.

Dnia 14 lutego: 1386. Chrzest Jagiełły i zaślubienie Jadwigi. — 1322. Małżeństwo Władysława Jagiełły z Zofią. — 1792. Zaprzysiężenie na sejmikach konstytucyi 3 maja. — 1831. Zniesienie Moskwy pod Stoczkiem.

Dnia 15 lutego: 1383. Wszczęta wojna domowa o wybór króla. — 1563. Posłowie pruscy na sejmie piotrkowskim. — 1656. Manifestem w Zembrowie Karól IX ogłoszony najezdzcą Polski.

Dnia 16 lutego: 1241. Tatarzy porażeni pod Turskiem. — 1704. Otwarcie sejmu w Warszawie na żądanie Karola XII.

Dnia 17 lutego: 1386. Koronacya Władysława Jagiełły. — 1387. Jagiełło przywilejami obdarza Litwę. — 1574. Wjazd do Krakowa Henryka Walezyusza.

Dnia 18 lutego: 1454. Prusacy składają przysięgę wierności w Krakowie. — 1634. Poddanie się Moskali pod Smoleńskiem. — 1726. Śmierć hetmana Adama Sieniawskiego. — 1831. Rozprawa z Moskalami pod Okuniewem. — 1846. Rozpoczęcie rzezi galicyjskiéj.

Szarada.

Pierwsze majątku podstawę zawiera,
Gdy ma kto pierwsze — by było drugie,
Niechże sakiewki rozsuwa długie.
Szkatułę pełną w potrzebie otwiera.
Drugie i pierwsze modne, wystrojone,
Obce nam wszakże, ale przyswojone.
Pierwsze i czwarte w zapusty bywa,
Lecz i bez zapust rolę odgrywa.
Trzecie bez kreski szczęśliwe w wodzie.
Całe słynęło w naszym narodzie

(Rozwiązanie Zadania konikowego w nr. 6, rozpoczyna A, 2:

Nie ten jest egoistą, kto od ludzi stroni,
Ale ten, co za bliźnim jak za łupem goni.

(Rozwiązanie szarady w nr. 6: *Lokomotywa*).

Korespondencya Redakcyi.

Panu Form. z Szubinia: Wcale — dobrze. — Panu Szmyt. z pod Gost.: Dziękujemy. — Panu Wierz. w Krakowie: Prosimy.